

# ASTRID LINDGREN

DZIECI Z WYSPY SALTKRÅKAN

Przełożyła  
MARIA OLSZAŃSKA

Ilustrowała  
ILON WIKLAND

NASZA KSIĘGARNIA

Tytuł oryginału szwedzkiego  
*Vi på Saltkråkan*  
Rabén & Sjögren Bokförlag AB, Stockholm, Sweden

© Saltkråkan AB/Astrid Lindgren 1964  
All foreign rights are handled by Saltkråkan AB,  
Sweden, e-mail: [info@saltkrakan.se](mailto:info@saltkrakan.se)  
For information about Astrid Lindgren's books, see  
[www.astridlindgren.com](http://www.astridlindgren.com)

© Copyright for the Polish edition  
by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 1957

Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*  
Ilustracja na okładce *Ilon Wikland*



## ZAGRODA STOLARZA

Tego pierwszego wieczoru w Zagrodzie Stolarza nikt z rodziny nie miał zapomnieć.

– Spytajcie mnie, kiedy chcecie – mawiał potem Melker – zawsze dokładnie opowiem, jak to było. Stęchły zaduch, pościel zimna jak lód i ta zmarszczka niepokoju między oczami Malin, ta, o której ona myśli, że jej nigdy nie dostrzegam. I ja z bryłą niepokoju w sercu, bo pomyślcie, jeżeli znowu zrobiłem głupstwo! Ale chłopcy weseli jak wiewiórki wbiegali i wybiegali, to pamiętam... tak, i pamiętam, że kos śpiewał w jarzębinie, a fale chlupotały cicho przy pomocy i cisza taka, że nagle pomyślałem: „Nie, Melker, tym razem nie zrobiłeś głupstwa, przeciwnie, coś wspaniałego, znakomitego, nieprawdopodobnie mądrego... tylko ta stęchlizna i...”.

– ...i napaliłeś pod kuchnią – wtrąciła Malin. – Przypominasz sobie?

Tego Melker sobie nie przypominał, jak twierdził.

– Ten piec nie wygląda na to, żeby się miał nadać do gotowania – powiedziała Malin, kładąc palki na podłodze w kuchni. Pierwszą rzeczą, którą

zobaczyła po wejściu, był kuchenny piec. Zardzewiały i robiący takie wrażenie, jakby po raz ostatni był w użyciu w końcu ubiegłego wieku. Melker był jednak pełen ufności.

– Takie stare żelazne kuchnie bywają fantastyczne. Wymagają tylko umiejętnego palenia, już ja się tym zajmę. Ale wprawo obejrzymy sobie resztę.

Coś z końca ubiegłego wieku było w całej Zagrodzie Stolarza. Niedbali lokatorzy wielu letnich sezonów mocno się dali we znaki temu ongiś zapewne dobrze utrzymanemu i zupełnie wygodnemu domowi rzemieślnika. Ale nawet w stanie tak podupadłym dom miał jakiś przedziwny wdzięk, to odczuli wszyscy.

– Całkiem klawo będzie mieszkać w tej budzie – zapewnił Pelle. Pospiesznie uścisnął Malin i pobiegł za Johanem i Niklasem, by zbadać wszystko, co było do zbadania, aż po strych.

– Zagroda Stolarza... – zastanowiła się Malin. – Jak myślisz, tato, co to za stolarz tu mieszkał?

– Młody, wesoty stolarz, który ożenił się w 1908 roku i wprowadził się tu z młodą, uroczą żoną, i zrobił dla niej szafy, krzesła, stoły i kanapy, akurat takie, jakich sobie życzyła, i całował ją, aż było słychać, i powiedział, że nazwie dom Zagrodą Stolarza i to będzie ich dom na...

Malin przyglądała mu się z uwagą.

– Wiesz to na pewno czy zmyśliłeś na poczekaniu?

Melker uśmiechnął się zażenowany.

– Hm... no... zmyśliłem. Chociaż wolałbym, żebyś mówiła „stworzyłeś”.

– Proszę bardzo, niech będzie „stworzyłeś” – zgodziła się Malin. – Ale w każdym razie... kiedyś musiał istnieć ktoś, kto cieszył się z tych mebli i odkurzał je, i polerował, i robił wielkie piątkowe sprzątanie. A teraz czyj jest ten dom?

– Jakiejś pani Sjöberg czy Sjöblom, czy coś takiego. Starsza kobieta...

– Może to ta żona stolarza? – roześmiała się Malin.

– Mieszka obecnie w Norrtälje – mówił Melker. – Pewien facet nazwiskiem Mattsson wynajmuje w jej imieniu dom na letnie mieszkanie... przeważnie jakimś opryszkom, mającym okropne dzieciaki o długich pazurach.

Rozejrzał się po tym, co niegdyś było paradnym pokojem stolarza.

Teraz nie było tu zbyt pięknie, ale Melker czuł się jednak zadowolony.

– To będzie – powiedział – nasz pokój bawialny. – Z ukontentowaniem poklepał wybielony kominiek. – Tu będziemy sobie siadywać wieczorami przy płonących szczapach i słuchać, jak morze szumi tam, na zewnątrz.

– A uszy nam będą powiewać na wietrze – dodała Malin, wskazując okno ze zbitą szybą.

Malin nie była tak zupełnie spokojna, bo знаła Melkera. Z mieszaniną zniecierpliwienia i czułości myślała: „On sam w to wierzy, nieborak, jeszcze jak

wierzy, bo zapomina, jak to bywa. Ale jeżeli o n będzie wprawiał szyby, to trzy inne wybije. Trzeba zapytać Nissego Grankvista, czy jest tu ktoś, kto by mi pomógł”.

Głośno powiedziała:

– Coś mi się zdaje, że trzeba będzie zakasać rękawy. Tato, może rozpalisz pod kuchnią?

Melker zatarł ręce z chęcią do działania.

– Oczywiście! To nie jest czynność, którą można by powierzyć kobietom i dzieciom.

– No więc – zdecydowała Malin – kobiety i dzieci pójdą i poszukają przez ten czas studni, bo mam nadzieję, że jest tu jakaś studnia.

Słyszała chłopców tupiących na pięterku i skrzyknęła ich:

– Hej, braciszku mili! Idziemy po wodę!

Deszcz przestał padać. Przynajmniej w tej chwili nie padał. Wieczne słońce wciąż podejmowało ty-leż śmiałe, co nieudane próby przebicia się przez chmury, żywo zachęcane przez kosa siedzącego w jarzębinie. Gwizdał niezmordowanie, dopóki nie zobaczył gromady młodych Melkersonów brodzących z wiadrami w mokrej trawie. Wtedy zamilkł.

– Czy to nie przyjemne, że w Zagrodzie Stolarza jest drzewo będące pod ochroną? – ucieszyła się Malin i przechodząc, pogładziła chropawy pień jarzębiny.

– A do czego jest takie drzewo pod ochroną? – spytał Pelle.

– Żeby na nie włączyć, musisz wiedzieć – dodał Johan.

– I to pewnie będzie pierwsza czynność, którą zrobimy jutro rano – zapewnił Niklas. – Ciekaw jestem, czy tatuś musiał coś dopłacić za to, że tu jest takie drzewo dobre do wdrapywania się.

Malin roześmiała się, ale chłopcy w dalszym ciągu wyliczali rzeczy, za które, ich zdaniem, Melker powinien zapłacić ekstra. Pomost i przycumowana do niego stara łódka. Długa czerwona szopa, którą zbadają bliżej, gdy znajdzie się wolna chwila. Strych, który już zbadali i na którym pełno było interesujących przedmiotów.

– I studnia, jeżeli jest w niej dobra woda – zaproponowała Malin.

Ale Johan i Niklas nie uważali, żeby to było coś, za co warto płacić ekstra.

– Można by natomiast życzyć sobie nosideł dla tego, kto tę wodę ma dźwigać – zaproponował Johan, wyciągając pierwsze wiadro.

Pelle krzyknął z zachwytem:

– Popatrzcie, tam na dnie siedzi żabka!

Malin wydała z siebie jęk rozpaczony. Pelle spojrzał na nią zdziwiony.

– Co ci jest? Nie lubisz takich malutkich, ślicznych żabek?

– Nie w wodzie do picia – odparła Malin.

Pelle aż podskakiwał z radości.

– Chyba mogę ją sobie wziąć?

Potem zwrócił się do Johana:

– Jak myślisz, czy za to, że w studni są żaby, tatuś też musiał zapłacić ekstra?



– To zależy, ile ich tam jest – odpowiedział Johan.  
– Jeżeli większe partie, to może dostał je zupełnie niedrogo.

Zerknął na Malin, żeby zobaczyć, ile żab ona może znieść, ale wydawało się, że wcale nie słucha.

Myśli Malin uleciały w inną stronę. Myślała teraz o wesołym stolarzu i jego żonie. Czy żyli szczęśliwie w swej zagrodzie? Czy mieli dzieci, które rosły, wdrapywały się na drzewa, a czasem wpadały w morze? Czy już wtedy rośło tu tyle krzaków dzikiej róży i czy w czerwcu ścieżka do studni była biała od opadłych kwiatów jabłoni jak teraz?

Potem przypomniała sobie nagle, że przecież wesołego stolarza i jego żonę Melker wymyślił. Na wszelki wypadek postanowiła jednak w nich wierzyć. I jeszcze jedno postanowiła. Mogą sobie być żaby w studni i wszystkie szyby w oknach mogą być wybite, może sobie cała Zagroda Stolarza być w opłakanym stanie, jej nic nie przeszkodzi w tym, by teraz, zaraz zaczęła się czuć szczęśliwa. Właśnie tu i właśnie teraz. Bo jest lato. „Stale powinien być czerwcowy wieczór – pomyślała. – Spokojny i rozmarzony jak dziś. I cichy”. Nad pomostem krążyły mewy, jedna z nich kilkakrotnie wydała dziki krzyk. Ale poza tym panowała niepojęta, dzwoniąca w uszach cisza. Na morzu leżała łagodna deszczowa mgiełka, piękne to było i zarazem trochę melancholijne. Ze wszystkich drzew i krzaków kapąło, w powietrzu unosił się zapach deszczu, który spadnie lada chwila, ziemi, słonej wody i wilgotnej trawy.

„Siedzieć sobie w ogrodzie w słońcu, jeść i czuć, że jest lato” – tak Melker wyobrażał sobie pierwszy dzień w Zagrodzie Stolarza. Wypadło nieco inaczej, ale lato jednak było, to Malin czuła tak, że aż jej łzy w oczach stanęły. Czuła ponadto, że jest głodna, i zastanawiała się, jak daleko Melker posunął się w paleniu pod kuchnią.

Posunął się już dość daleko.

– Malin, gdzie jesteś? – zawołał, bo miał zwyczaj wołać córkę, jak tylko mu coś nie wychodziło. Ale Malin nie było w zasięgu jego głosu i z niechęcią stwierdził, że jest sam i sam musi dać sobie radę.

– Sam z Bogiem tylko i żelaznym piecykiem, który wkrótce wyleci przez okno – wymamrotał z rozgoryczeniem, potem zakaszłał i nic więcej powiedzieć nie mógł. Wpatrywał się w piecyk, który złośliwie wydmuchiwał na niego dym, choć nic złego mu przecież nie zrobił, napalił w nim tylko, ostrożnie i pieczołowicie. Poruszył pogrzebaczem i nowa chmura dymu buchnęła na niego. Kaszląc straszliwie, skoczył, by otworzyć wszystkie okna. Właśnie gdy to robił, otworzyły się drzwi i ktoś wszedł. A miaowicie to majestatyczne dziecko, które przedtem stało na przystani. Ta dziewczynka o przedziwnym imieniu Korven czy Tjorven, czy jakoś tak. „Wygląda jak mała, dobrze wypchana kielbaska – pomyślał Melker – okrągłutka i apetyczna”. Twarz wystająca z kaptura wiatrówki, o ile można było dostrzec przez dym, była niezwykle czystą i ładną dziecinną twarzą, szeroką, dobroduszną, z parą mądrych, ba-

dawczo spoglądających oczu. Dziewczynka miała ze sobą psa olbrzyma. We wnętrzu domu robił wrażenie jeszcze większego, zdawał się wypełniać całą kuchnię.

Tjorven taktownie zatrzymała się na progu.

– Dymi się – powiedziała.

– Czyżby? – spytał Melker. – Nie zauważyłem.

Potem zakaszłał tak mocno, że aż mu oczy na wierzch wyszły.

– Dymi się – zapewniła Tjorven. – Wiesz co? Może zdechła sowa leży w kominie. U nas tak kiedyś było.

Potem badawczo spojrzała na Melkera i uśmiechnęła się szeroko.

– Masz czarną twarz, wyglądasz jak kanibal.

Melker kaszłał.

– Kanibal, widział to kto. Raczej jak pikling, świeżo uwędzony pikling. A poza tym, czy powinnaś mówić mi ty? Mów: wujku Melkersonie.

– A ty jak się nazywasz? – spytała Tjorven.

Melker nie potrzebował odpowiadać, bo na szczęście nadeszła Malin i chłopcy.

– Tato, wiesz, że znaleźliśmy żabę w studni? – oznajmił Pelle żarliwie.

Ale zaraz zapomniał o żabach, gdyż wspaniały pies, którego przedtem widział na przystani, stał teraz w jego własnej kuchni.

Melker wyglądał na urażonego.

– Żaba w studni... rzeczywiście? A ten agent mówił, że przyjemne lotnisko. Ani słowem nie wspo-

mniał, że to ogród zoologiczny z sowami w kominie, żabami w studni i psami jak konie w kuchni. Johan, idź zobaczyć, czy w sypialni nie leży renifer!

Dzieci roześmiały się, jak tego oczekiwał. W przeciwnym razie czułby się dotknięty. Tylko Malin zawołała:

– Ależ tu się dymi!

– Co się dziwić? – Melker oskarżycielsko wskazał na żelazny piecyk. – To hańba dla fabryki Ankarsrum. Napiszę zażalenie... w kwietniu 1908 roku firma wasza dostarczyła piec żelazny i do czegoś, u licha, on się nadaje?

Nikt go nie słuchał prócz Malin. Reszta cisnęła się wokół Tjorven i psa i zasypywała ją pytaniami.

Tjorven uprzejmie poinformowała, że mieszka w sąsiednim domu, gdzie jej tatuś ma sklep, ale dom jest duży i mieszczą się tam wszyscy.

– Ja i Bosman, i mama, i tatuś, i Teddy, i Freddy – opowiadała.

– Ile lat mają Freddy i Teddy? – zapytał żywo Johan.

– Teddy ma trzynaście, a Freddy ma dwanaście, a ja mam sześć. Bosman ma dwa. Nie pamiętam, ile mają tatuś i mama, ale mogę iść do domu i spytać – usłużnie wyjaśniała Tjorven.

Johan zapewnił, że to nie jest konieczne. On i Niklas spojrzeli na siebie z zadowoleniem. Dwóch chłopców dokładnie w ich wieku, w sąsiednim domu, to prawie zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

– Co my, na litość boską, zrobimy, jak się nie da tego pieca doprowadzić do porządku? – zastanawiała się Malin.

Melker rwał włosy z głowy.

– Wejdę chyba na dach i zobaczę, czy tam rzeczywiście nie ma sowy w kominie, jak twierdzi ta mała.

– Oj, tylko bądź ostrożny – przestrzegła Malin.

– Pamiętaj, że mamy tylko j e d n e g o o j c a.

Melker był już za drzwiami. Zobaczył drabinę opartą o węgiel, a dla nieco wygimnastykowanego człowieka wejście na dach nie powinno być żadną sztuką. Chłopcy deptali mu po piętach, nawet Pelle. I największy pies świata nie mógł zatrzymać go w kuchni, skoro tata zamierzał wyjmować sowy z komina. A Tjorven, która już wybrała sobie Pellego na przyjaciela i towarzysza, choć on o tym jeszcze nic nie wiedział, również majestatycznie wyszła na podwórze, żeby zobaczyć, czy wyniknie z tego coś zabawnego.

Zapowiadało się dobrze, uważała. Wujek Melker wziął ze sobą pogrzebacz, żeby nim wydłubać sowę z komina, i musiał go trzymać w zębach, wspinając się po drabinie. „Zupełnie jak Bosman, kiedy niesie kość” – pomyślała Tjorven. Weselszego widoku nie mogła sobie życzyć. Śmiała się cichutko do siebie samej, stojąc pod jabłonką. Potem złamał się jeden szczebel drabiny, gdy wujek postawił na nim nogę, i Melker obsunął się spory kawałek. Pelle krzyknął wystraszony, a Tjorven znowu się cichutko roześmiała.

Potem już się nie śmiała, bo wuj Melker wylazł na dach i zaczynało to wyglądać niebezpiecznie.

Melker też tak uważał.

– Dobry dom – mrucał – ale przede wszystkim wysoki.

Zaczynał się nawet zastanawiać, czy właściwie nie za wysoki na to, by po nim balansować, gdy wkrótce ma się skończyć pięćdziesiąt lat.

– Za stary już jestem – mruknął Melker, chwiejnie idąc szczytem dachu, ze wzrokiem utkwionym w komin. Raz spojrzął w dół i już zaczął spadać, zobaczywszy głęboko pod sobą zwrócone w górę, wystraszone twarze synów.

– Trzymaj się, tato! – zawołał Johan.

Melker się rozgniewał. Nad nim była pusta przestrzeń, czego się miał trzymać? Wtedy usłyszał z dołu donośny głos Tjorven:

– Wiesz co, wujku? Trzymaj się pogrzebacza, mocno!

Melker na szczęście był już w bezpiecznym miejscu koło komina. W kominie nic nie było prócz głębokiej czerni.

– Co ty wygadywałaś o zdechłych sowach, Tjorven? – zawołał z wyrzutem. – Tu nie ma żadnej sowy.

– Czy to puszczyk? – krzyknął Niklas.

Wtedy Melker ryknął gniewnie:

– Tu nie ma żadnej sowy, powiedziałem już!

I znowu usłyszał donośny głos Tjorven:

– A chcesz koniecznie mieć sowę? Bo ja wiem, gdzie są. Tylko że żadna nie jest zdechła.

Po tych wszystkich wydarzeniach nastrój w kuchni był nieco przygnębiający.

– Będziemy tymczasem żyli suchym prowiantem – zdecydowała Malin.

Wszyscy ze smutkiem wpatrywali się w piecyk, który nie chciał się zachowywać tak, jak powinien. Niczego w tej chwili nie pragnęli bardziej niż gorącego jedzenia.

– Życie jest ciężkie – stwierdził Pelle, bo ojciec miał zwyczaj tak mawiać od czasu do czasu.

Wtedy zapukano do drzwi i weszła zupełnie obca osoba w czerwonym płaszczu przeciwdeszczowym. Pospiesznie postawiła na piecyku emaliowany garnek i uśmiechnęła się do wszystkich szerokim, jasnym uśmiechem.

– Dobry wieczór – powiedziała. – Aha, to tu jest moja Tjorven, tego się mogłam spodziewać. Ależ tu jest zadymione – dodała i nim ktoś zdołał się wtrącić i potwierdzić, ciągnęła dalej: – Prawda, przecież powinnam się przedstawić... Märta Grankvist. Jesteśmy najbliższymi sąsiadami. Witajcie.

Mówiła szybko, cały czas się uśmiechając, i zanim ktoś z rodziny Melkersonów zdołał się odezwać, podeszła do pieca i zajrzała pod okap.

– A szyber otworzyliście? Wtedy lepiej ciągnie.

Malin roześmiała się, a Melker zrobił wielce obrażoną minę.

– Oczywiście, że otworzyłem szyber. Pierwsza rzecz, jaką zrobiłem – zapewnił.

– W każdym razie teraz jest zamknięty – powiedziała Märta Grankvist. – O, a teraz otwarty – do-dała, przesunawszy rączkę. – Widocznie był otwar-ty, jak przyjechaliście, i pan Melkerson go zamknął.

– Zawsze jest bardzo skrupulatny – zauważyła Malin.

I wszyscy się roześmiali, nawet sam Melker. Naj-głośniej śmiała się Tjorven.

– Znam ten piec – oświadczyła Märta Grankvist.  
– Jest znakomity.

Malin spojrzała na nią z wdzięcznością. Wszyst-kim ulżyło, od kiedy ta wspaniała kobieta zjawiała się w kuchni. Była tak pogodna, promieniowała od niej życzliwość, energia, miało się przy niej poczucie bezpieczeństwa. „Cóż za szczęście, że właśnie ona jest naszą sąsiadką” – pomyślała Malin.

– Zrobiłam dla was trochę pieczeni wołowej, na pierwszy posiłek po wprowadzeniu, nie obrażcie się – powiedziała Märta, wskazując emaliowany gar-nek.

Melkerowi łzy w oczach stanęły, co się zdarzało, ilekroć ktoś był dobry dla niego i jego dzieci.

– Że też istnieją tacy mili ludzie – wyjąkał.

– Tak, my jesteśmy mili tu na Saltkråkan – roze-śmiała się Märta Grankvist. – Chodź, Tjorven, idzie-my do domu.

W drzwiach odwróciła głowę.

– A jeżeli jeszcze w czymś potrzebujecie pomocy, to mówcie otwarcie.



– W jednym oknie szyba jest zbita – nieśmiało powiedziała Malin. – Ale nie możemy przecież tak się naprzykrzać.

– Przyślę Nissego, jak zjecie.

– Tak – dodała Tjorven – to on zawsze wprawia szyby tu na Saltkråkan, a my, ja i Stina, zawsze wybijamy.

– Ładnych rzeczy o was się dowiaduję – powiedziała jej matka surowo.

– Przecież nienaumyślnie – pospiesznie wyjaśniła Tjorven. – Tylko tak jakoś.

– Stinę to ja znam – oświadczył Pelle.

– Znasz – powiedziała Tjorven i z jakiegoś powodu nie wyglądała na specjalnie zadowoloną.

Pelle od dłuższej już chwili był osobiście milczący. Ale o czym tu mówić z ludźmi, kiedy obok stoi taki pies jak Bosman? Pelle objął go za szyję i szepnął mu do ucha:

– Ciebie to ja lubię.

A Bosman pozwolił się objąć. Popatrzył tylko na Pellego życzliwie roztargnionymi, trochę smutnymi oczyma. Było to spojrzenie odsłaniające przed każdym, kto miał dar widzenia, jego wierną psią duszę.

Teraz jednak Tjorven szła do domu, a gdzie Tjorven, tam i Bosman.

– Chodź, Bosman – powiedziała. I poszli.

A że okno w kuchni było otwarte, usłyszeli głos Tjorven, gdy przechodziły:

– Wiesz co, mammo? Jak on wszedł na dach, ten wujek, to trzymał się pogrzebacza.

Usłyszeli też odpowiedź Märty Grankvist:

– Bo oni są z miasta, rozumiesz, Tjorven, więc pewnie czasem trzymają się pogrzebacza, tak sędzę.

Melkersonowie popatrzyli się na siebie.

– Ona się nad nami lituje – stwierdził Johan. – A przecież nie ma powodu.

Ale jeżeli chodzi o piec, Märta miała rację. Był znakomity i buzoowało w nim tak, aż poczerwieniał i roztaczał po całej kuchni cudowne ciepło.

– Święty domowy ogień – zachwycił się Melker.

– Człowiek nie miał domu, póki nie wynalazł ognia.

– I póki nie wynalazł pieczenia – dodał Niklas i wpakował do ust taki kawał, że już nic więcej powiedzieć nie mógł.

Siedzieli wokół kuchennego stołu i była to chwila głębokiego poczucia domowego zacisza i ciepła. W piecu trzaskał ogień, a za oknami szumiał deszcz.

Padło jeszcze mocniej, gdy chłopcy mieli iść spać. Niechętnie opuścili ciepłą kuchnię i poszli na poddasze, gdzie było zimno, wilgotno i nieprzyjemnie, mimo ognia w piecu. Pelle spał już tam, owinięty przez Malin w swetry, w wełnianej czapce na głowie.

Johan, dygocząc, stał przy oknie i wyglądał na dom Grankvistów, ale deszcz smagał szyby i wszystko przyćmiewała zasłona spływającej wody. Sklep – widział szyl. Dom – czerwony, tak samo jak Zagroda Stolarza. Ogród – sięgał aż do morza i Grankvistowie mieli własny pomost, tak jak Zagroda Stolarza.

– Jutro trzeba będzie dopaść tych chłopaków... – zaczął Johan, ale urwał w pół słowa. Bo w sąsiednim obejściu coś się działo. Drzwi się otwały i ktoś wybiegł na deszcz. Dziewczyna. W kostiumie kąpielowym, z jasnymi włosami, które powiewały, gdy galopowała ku pomostowi.

– Chodź tu, Niklas, to zobaczysz coś interesującego... – zawołał Johan i znowu urwał. Bo drzwi w sąsiedztwie otwały się powtórnie i jeszcze jedna dziewczyna wybiegła na deszcz, też w kostiumie kąpielowym, z powiewającymi włosami, i też pogalopowała na pomost. Ta pierwsza już była w wodzie. Teraz się wynurzyła i zawołała:

– Wzięłaś mydło, Freddy?

Johan i Niklas popatrzyli na siebie w milczeniu.

– No i masz tych chłopaków, co ich jutro mieliśmy dopaść – powiedział w końcu Niklas.

– Oj! – jęknął Johan.

Nie mogli zasnąć tego wieczoru.

– Trudno zasnąć, póki nogi trochę się nie rozgrzeją – narzekał Niklas.

Johan był tego samego zdania. Długą chwilę milczeli.

– W każdym razie przestało padać – odezwał się w końcu Johan.

– Wcale nie – odpowiedział Niklas. – Przeciwnie, w moim łóżku właśnie zaczęło.

– Albo się lubi, kiedy deszcz pada przez dach, albo nie...



Niklas nie lubił, żeby padało akurat do jego łóżka, ale zbytnio się tym nie martwił, bo miał dopiero dwanaście lat i z natury nie był skłonny do zmarwień. Obaj natomiast uznali, że gdyby teraz zawiadomić Malin o tym nieszczęściu, naraziliby ją na bezsenność. A ponieważ kochali siostrę i dobrze jej życzyli, po prostu cichutko przesunęli łóżko Niklasa, a w miejscu, gdzie kapało z sufitu, podstawiли wiadro.

– To nawet działa usypiająco – mruknął Johan, wlazłszy z powrotem do łóżka – kap, kap!

A Malin, nieświadoma kapania, siedziała na dole w ciepłej kuchni i skrobała w dzienniczku, bo chciała uwiecznić pierwszy dzień na Saltkråkan.

*Siedzę tu sama – napisała na zakończenie – ale wydaje mi się, że ktoś na mnie patrzy. Nie człowiek! Tylko dom... Zagroda Stolarza! Droga Zagrodo Stolarza, okaż nam sympatię, bądź tak miła! Lepiej zdecyduj się na to od razu, bo przecież musisz nas znosić. Powiadasz, że nie wiesz, jacy jesteśmy? Mogę ci opowiedzieć. Ten wysoki, zabawny jegomość, który leży w małym pokoiku za kuchnią i głośno deklamuje wiersze, żeby zasnąć, to Melker. Przed nim miej się na baczności, zwłaszcza gdy zobaczysz, że ma w ręce młotek, piłę albo jakieś inne narzędzie. Poza tym jest właściwie miły i zupełnie niegroźny. Te trzy niedbaluchy na pięterku, o nich mogę powiedzieć tylko... mam nadzieję, że lubisz dzieci? Bo jeżeli tak, to nie będziesz się złościć. Więcej chyba nie muszę mówić. Przypuszczam, że jesteś przyzwyczajona, dzieciaki stolarza też chyba nie były cały czas grzeczne. A twoje okna i podłogę myć będzie z miłością, choć stopniowo coraz bardziej zniszczonymi rękami, niżej podpisana, Malin. Choć możesz być pewna, że pozostali będą mi pomagać. No! Zrobimy wszystko, żeby tu był porządek. Więc dobranoc, droga Zagrodo Stolarza, chyba pójdziemy już spać. Na mnie też czeka mały, zimny pokój na poddaszu... zwlekam jednak, jak długo się da, by posiedzieć tu w twojej wiejskiej kuch-*

*ni przy rozżarzonym piecu, bo tu czuję się najbliżzej two-  
go ciepłego, bijącego serca.*

Tak pisała Malin, aż w końcu zauważyła, jak późno się zrobiło. Właściwie zaczynał się już nowy dzień, jasny i pogodny. Stwierdziła to, podszedłszy do okna, gdzie stała długo.

– Czy jest drugie takie okno kuchenne na całej ziemi? – szepnęła, zdając sobie sprawę, że nigdy nie podobało jej się bardziej niż ten widok rozciągający się za oknem. Woda drzemiąca w świetle brzasku, pomost, szare skały przy brzegu, wszystko. Otworzyła okno i usłyszała śpiew ptaków, który spłynął na nią jak radość. Śpiew wydobywał się z wielu małych gardziołek, przede wszystkim Malin jednak słyszała kosa siedzącego w jarzębinie. Właśnie się obudził, rześki i pełen ochoty do życia. A biedny Melker w pokoiku za kuchnią jeszcze oka nie zmrużył. Ziewał, Malin słyszała to wyraźnie, jednak płynnie i niezmiernie deklamował pełnym głosem:

*...o rajska godzino,  
co roś wlewasz w nasze dusze!  
Gdy ptasi śpiew radośnie brzmi  
nad jaśniejącą w brzasku zatoką  
tak czysty jak ten pierwszy świergot  
w godzinie stworzenia.*

– O, właśnie tak – potwierdziła Malin.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.  
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c  
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,  
faks 22 643 70 28  
e-mail: [naszaksięgarnia@nk.com.pl](mailto:naszaksięgarnia@nk.com.pl)

Dział Handlowy  
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42  
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32  
e-mail: [sklep.wysylkowy@nk.com.pl](mailto:sklep.wysylkowy@nk.com.pl)  
**[www.nk.com.pl](http://www.nk.com.pl)**

*Książkę wydrukowano na papierze  
Creamy 70 g/m<sup>2</sup> wol. 2,0.*

Redakcja **Małgorzata Grudnik-Zwolińska**  
Redakcja techniczna **Joanna Piotrowska**  
Korekta **Jolanta Sztuczyńska**  
DTP **Mariusz Brusiewicz**

ISBN 978-83-10-13230-7

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2018 r.  
Druk: EDICA Sp. z o.o., Poznań